

CHESTERTON.

MŁOT BOŻY

NOWELA.

1)

Tłom. Zet.

Mała wioska Bohuna Beacons gnieździła się na pagórku tak stromym, że wysoka wieżyca jej kościoła wyglądała jak szczyt wzgórza. U stóp kościoła stała kuźnia, czerwona od ognia i zawsze zawałona narzędziami i odpadkami żelaza; na przeciw, na rozstaju wybrukowanych uliczek gnieździł się „Niebieski Dzik“, jedyna oberża w tej miejscowości. W tem to miejscu o srebrzystym brzasku dnia dwaj bracia spotkali się na drodze i właśnie jeden z nich zaczynał drugi kończyć dzień. Wielebny Wilfred Bohun był bardzo pobożny i udawał się na jakieś surowe ćwiczenia duchowne czy też na rozmyślanie o wschodzie słońca. Pułkownik Norman Bohun, jego starszy brat, nie był bynajmniej pobożnym, a siedział na ławce przed „Niebieskim Dzikim“ wypróżniając szklankę, którą filozoficznie usposobiony obserwator mógł uważać dowolnie za ostatnią wtorkową lub pierwszą na środę. Pułkownik nie był drobiazgowym.

Bohunowie byli jedną z niewielu rodzin arystokratycznych, pochodzących istetnie z średniowiecza, kiedy to proporzec rodzinny oglądał Palestynę. Lecz błędem wielkim jest przypuszczać, że takie rody wysoko stawiają rycerską tradycję. Niewiele poza ubogimi zachowuje tradycje. Arystokracja nie czci tradycji lecz modę. Bohunowie byli Mohockami za królowej Anny a Masherami za królowej Wiktorji. A jak nie jeden z rzeczywiście starożytnych rodów w ostatnich dwu wiekach wyrodził się w pijaków i dandysów, aż nawet zjawilo się w ich rodzie widmo obłąkania. Z pewnością mało ludzkich rysów było w wilczej pogoni pułkownika za rozkoszami, a jego stary zwyczaj niewracania do domu przed świtem był piętnem chorobliwej bezsenności. Było to wyniosłe, pięknie zbudowane zwierzę; podstarzały, ale włos miał zdumiewająco płowy. Wyglądałby cały żółtawy, jak lew, tylko niebieskie oczy osiadły tak głęboko, że wydawały się czarne. Były nieco zbyt zbliżone do siebie. Miał długie płowe wasy, a po każdej ich stronie zmarszczkę czy bruzdę — od nosa do szczęki, tak, że zdawało się, iż szyderski uśmiech rozciąga mu twarz. Na rzezonem ubraniu nosił ciekawy kremowy sardut, który więcej wyglądał na lekki szlafrok niż na zarzutkę, w tyle głowy miał osadzony dziwaczny szeroki kapelusz jasno zielonej barwy, widać jakaś wschodnia osobliwość nabyta na chybił trafił. Z tak niezgadzanego się stroju był dumny, — dumny mianowicie, że zawsze umiał go pogodzić.

Brat jego wikary miał także płowy włos i elegancki wygląd, ale był opięty aż po brodę w czarny strój, a twarz jego była starannie ogolona, wypielęgnowana i nieco nerwowa. Zdawało się, że żyje wyłącznie dla swej religji, lecz byli tacy, którzy mowili (a zwłaszcza kowal, który był presbiterjaninem), że była to raczej miłość gotyckiej architektury niż Boga i że jego wędrówki po kościele, jakby ducha, były tylko inną i czystsza formą tego głodu piękna, który sprawiał, że jego brat szalał za kobietami i winem. Zarzut ten był wątpliwy, natomiast w praktyce jego pobożność nie ulegała wątpliwości. Rzeczywiście zarzut polegał przedewszystkiem na ignorancji i niezrozumieniu zamięłowania do samotności i skrytych modlitw, a opierał się na tem, że często znajdowano go klęczącego nie przed ołtarzem, ale w szczególnych miejscach, w jakiejś krypcie czy krużganku lub nawet w dzwonnicy. W tej chwili chciał on wejść do kościoła przez podwórze kuźni, ale zatrzymał się i zmarszczył nieco, — zobaczywszy zapadłe oczy brata, zwrócone w tym samym kierunku. Na przypuszczenie, że pułkownik interesował się kościołem nie tracił on na próżno domyślowo. Zostawała tedy zagroda kowala, a choć był purytańskim i nie należał do jego owieczek, Wilfred Bohun słyszał pewne plotki o jego ciekawej i dość głośnej zonie. Rzucił podejrzliwie spojrzenie na szopę, a pułkownik powstał z uśmiechem.

— Dzień dobry, Wilfredzie. Jako dobry pan czuwać bezsenność nad moim ludem. Teraz zamierzam odwiedzić kowala.

Wilfred spojrział w ziemię.

— Kowala niema. Jest w Greenford.

— Wiem — odpowiedział tamtem, z cichym uśmiechem — właśnie dlatego go odwiedzę. — Normanie — rzekł ksiądz, z okiem utkwnionem w kamyk na drodze — czy nigdy nie boisz się piorunów? —

— Co to znaczy — zapytał pułkownik — czy rozmiawałeś się w meteorologii?

— To znaczy — rzekł Wilfred, nie patrząc na niego — czy nigdy nie myślisz, że Bóg na równej drodze może cię pozbawić życia?

— Ach, przepraszam widzę, że masz zamiłowanie do baśni ludowych.

— Wiem, że ty masz zamiłowanie do bluźnierstwa — odparł duchowny, ugodzony w najwrażliwszą strunę swej natury, — ale jeśli nie boisz się Boga, to masz poważny powód bać się człowieka.

Starszy uprzejmie podniósł brwi. — Obawiać się człowieka? —

— Kowal Barnes jest największym i najsilniejszym mężczyzną na czterdzieści mil wokoło. Wiem, że nie jesteś słabym ani tchórzem, on jednak mógłby cię przerzucić przez ten mur.

Ten pocisk trafił, bo było to prawdą i złowroga linja od ust do nosa pociemniała i pogłębiła się. Przez chwilę stał z szyderskim grymasem na twarzy. Wkrótce jednak pułkownik Bohun odzyskał swój okrutny dobry humor i zaśmiał się ukazując dwa kły jak u psa pod swym płowym wąsem.

— W takim razie drogi Wilfredzie — rzekł całkiem nieuważnie — mądrze postąpił ostatni z Bohunów, że przyszedł częściowo opancerzony.



Rys. A. Ciompa

— Normanie — rzekł ksiądz z okiem utkwnionem w ziemię — czy nigdy nie boisz się piorunów?..

I zdjął swój okrągły kapelusz obity zielonym sukrem, pokazując, że wewnątrz był wyłożony stalą. Wilfred poznał w tem lekki japoński czy chiński hełm, zerwany z trofeum, które wisiało w starym rodzinnym hallu.

— Był to pierwszy kapelusz pod ręką, wyjaśnił brat — biorę zawsze pierwszy z brzegu kapelusz i pierwszą z brzegu kobietę.

— Kowal jest w Greenford — powiedział Wilfred spokojnie — czas jego powrotu nieoznaczony.

Z temi słowami obrócił się i wszedł do kościoła z pochyloną głową, zegnając się, jak ktoś, co chce się pozbyć nieczystego ducha. Pragnął zapomnieć o prostactwie w chłodnym półmroku swego gotyckiego klasztoru; lecz tego ranka było przeznaczone, żeby jego kolej religijnych ćwiczeń przerywały wszędzie małe wzruszenia. Gdy wszedł do kościoła, pustego zawsze o tej godzinie, jakaś klęcząca postać szybko powstała i wyszła do oświetlonych drzwi. Wikary, ujrawszy ją, przystanął ze zdziwienia. Ten wczesny pobożny, był to nikt inny jak wiejski idjota, siostrzeniec kowala, który nigdy nie mógł troszczyć się ani o kościół ani o nic innego. Nazywano go zawsze „szalony Joe“ i zdawało się, że niema innego imienia. — Był to czarny, wilczy, ciężki młodzik, z ocieżałą bladą twarzą,

ciemnym prostym włosiem i zawsze otwartymi ustami. Gdy mijał księdza, jego głupkowata fizjonomia nie pozwalała odgadnąć co robił i o czem myślał. Nigdy przedtem nie widziano, aby się modlił. Co za modlitwy teraz odmawiał? Nadzwyczajne jakieś z pewnością.

Wilfred Bohun stał długo jak przyrosły do ziemi patrząc jak idjota wyszedł na słońce i jak jego brat zaczepiał go z poufałą rubaszością. Ostatniem co widział było, jak pułkownik rzucał grosze, starając się trafić w otwarte usta Joe'go.

Ten brzydki obraz głupoty i okrucieństwa zwrócił wreszcie ascetę do jego modlitw po oczyszczeniu i nowe myśli. Wszedł do zamkniętej ławki w krużganku, pod barwnem oknem, które lubił i które zawsze uspakajało jego duszę: modre okno z aniołem niosącym lilje. Tam począł mniej myśleć o półgłówkach i rybich oczach i sinej twarzy. Począł mniej myśleć o swym złym bracie, krążącym jak strasznie wygłodniały lew. Pograżał się coraz głębiej w te chłodne i słodkie barwy srebrnego kwiecica i szafirowego nieba.

W tem miejscu pół godziny później znalazł go Gibbs, wiejski łatacz, którego posłano z jakimś pośpiechem. Ksiądz powstał szybko, wierząc, że byle jaka rzecz nie sprowadzała by Gibbsa w takie miejsce. Łatacz, jak to często bywa, był ateistą, a jego zjawienie się w kościele było czemś jeszcze niezwyklejszem niż modły Joe'go. Był to poranek teologicznych zagadek.

— Co się stało? — zapytał Wilfred Bohun dość sztywno, ale sięgając drżącą ręką po kapelusz.

Ateista mówił tonem, w którym jak na niego brzmiał niezwykle szacunek a nawet jak gdyby pewna szorstka sympatja.

— Przepraszam, sir, — rzekł ochrypłym szeptem — ale myśleliśmy, że należy dać ci znać natychmiast. — Obawiam się, że zaszło dość poważne zdarzenie. Obawiam się, sir, że twój brat...

Wilfred zacisnął swe drobne ręce.

— Co za łotrówstwo popełnił znów — zawołał z mimowolnem uniesieniem.

— Ach, sir, — rzekł Gibbs, odkaszlując — obawiam się, nie popełnił niczego i nie popełni już nigdy. Boję się, że już... koniec z nim. Ale lepiej byś zeszedł na dół, sir.

Wikary zstępował za łataczem po krótkich, krętych schodach, które sprowadziły ich do wejścia nieco wyższego niż ulica. Bohun jednym rzutem oka ujrzał tragedję jak na planie. W podwórzu kuźni stało pięciu lub sześciu mężczyzn przeważnie ubranych czarno, tylko jeden w mundurze inspektora. Był między nimi doktor, presbiterjański pastor i ksiądz z katolickiej kaplicy, do której należała żona kowala. Ten ostatni mówił do niej bardzo żywo półgłosem, podczas gdy ona, wspaniała kobieta o rudo złotych włosach łkała bez pamięci na ławce. Między temi dwiema grupami, tuż koło stosu narzędzi leżał człowiek w poszarpanem ubraniu, rozkrzyżowany, twarzą do ziemi. Z wysoka Wilfred mógł rozpoznać dokładnie każdą szczegół jego ubrania aż do pierścieni Bohunów na palcach; głowa tylko była jedną ohydłą plamą ciemną i krwawą.

Wilfred Bohun raz tylko spojrział i zbiegł po stopniach na podwórze. Doktor, lekarz rodzinny, pozdrowił go, on jednak zaledwie to zauważył. Zdołał tylko wyjąkać „Mój brat nie żyje! Co to znaczy? Cóż za okropna tajemnica?“ Zapanowało przykre milczenie. Wreszcie łatacz, najotwartzszy z obecnych, odpowiedział: „Okropność to, sir, ale tajemnicy w tem mało“.

— Co to znaczy — zapytał Wilfred z bladą twarzą.

— To dość jasne — odparł Gibbs. — Jest tylko jeden człowiek na czterdzieści mil wokoło, który mógłby zadać cios jak ten i... który miałby najwięcej powodów do tego.

— Nie możemy przesądzać niczego — rzekł dość nerwowo doktor, wysoki o czarnej brodzie — do mojej kompetencji jednak należy potwierdzić, co mówi Mr Gibbs o naturze ciosu, sir jest to nie do uwierzenia — Mr. Gibbs mówi, że tylko jeden człowiek w tym powiecie mógł go zadać, ja twierdzę, że nie mógł go zadać nikt wogóle.

Dreszcz zabobonny przeniknął drobną postać wikarego.

(Ciąg dalszy nastąpi).